

Przegląd amerykański (XXII)

75-lecie manifestu południowych agrariuszy

Jacek Koronacki

W poszukiwaniu pożądanego ładu politycznego

Miesięcznik „Chronicles” z listopada ubiegłego roku przypomina, iż minęło 75 lat od ukazania się książki-manifestu południowych agrariuszy, „I’ll Take My Stand: The South and the Agrarian Tradition”. Sześć lat później, w roku 1936 wydali swoje drugie i ostatnie wspólne dzieło, „Who Owns America? – A New Declaration of Independence”. Ta druga książka, jak wspominałem w VI odcinku tego przeglądu, *była próbą wzbogacenia wcześniejszego manifestu kulturalnego i literackiego agrariuszy o wątki praktyczno-ekonomiczne*. Do najważniejszych przedstawicieli tego kierunku myśli amerykańskiego Południa należeli od jego początków Donald Davidson, Andrew Lytle, John Crowe Ransom, Allen Tate i Robert Penn Warren. Czerpali z konserwatywnej myśli Południa sprzed wojny secesyjnej. Współpracowali z nimi Chesterton, Belloc oraz inni, mniej znani angielscy „dystrybucjoniści”. Później drogi Ransoma, Warrena i Tate’a rozeszły się z agrariuszami, za to pojawiło się ich drugie pokolenie, przede wszystkim Richard Weaver i Melvin Bradford. Niektórzy komentatorzy uznają dziś krąg redaktorów „Chronicles” za trzecie pokolenie agrariuszy.

Jak wiadomo, południowi agrariusze marzyli o powstrzymaniu rozrostu kapitalizmu na wielką skalę, a zatem kapitalizmu wielkich koncernów, masowej produkcji i wielkich rządowych programów finansowania biznesu i rolnictwa. Opowiadali się, tak jak nieznanym im Wilhelm Röpke¹, za ekonomią „na ludzką skalę”, trafnie krytykując współczesność, ale w przeciwieństwie do tego ostatniego – wybitnego ekonomisty – albo unikając analiz szczegółowych, albo się w nich niekiedy myląc. Ich program społeczny mocno tkwił w tradycji agrarnej – pochwały wspólnot lokalnych, opartych na modelu wiejskim, związku z ziemią i rolnictwem, a także postulował upowszechnienie własności, w przypadku wsi np. poprzez reformy agrarne². Był to zatem program rzeczywiście bliski angielskim dystrybucjonistom. Niejako tym samym nawiązywał, chociaż agrariuszy to nie interesowało i o tym zapewne nie wiedzieli, do społecznej myśli encykliki Piusa XI z roku 1931, „Quadragesimo Anno”, w tym jej specyficznie rozumianego korporacjonizmu.

We wspomnianym już numerze „Chronicles” Thomas Fleming (redaktor naczelny miesięcznika) zwraca słusznie uwagę na, można rzec, ponadczasowy charakter i nieustający spór o tradycję agrarną. Przypomina pochwałę drobnego ziemiaństwa i ciężkiej pracy na roli u Hezjoda, w jego „Pracach i dniach”. Przypomina o siedem wieków młodsze „Georgiki” Wergiliusza i pisze dalej:

Czas mija. Imperium powstaje i upada, przychodzi wiek chrześcijaństwa, by Renesansem i Oświeceniem rozpocząć swój rozkład. Tymczasem osiedleńcy w angielskich koloniach Ameryki Północnej wracają do sposobu życia przypominającego raczej wiek XII lub wczesną republikę rzymską niż współczesną im Europę. Z reguły, Amerykanie żyli w przededniu rewolucji w skupiskach rodzinnych, obejmujących dwa lub trzy pokolenia. Byli raczej religijni i, co najważniejsze, nie znaleźli się w Nowym Świecie po to, by coś zmienić w swoich upodobaniach, lecz by osiąść jakąś ziemię. Przed industrializacją Ameryka jako całość była narodem reakcyjnych farmerów, którzy zbuntowali się przeciw królowi chcąc, jak uważali, ożywić na powrót starą konstytucję angielską i tym sposobem zachować przywileje, jakie kolonom Massachusetts, Wirginii i Karoliny nadała tradycja oraz prawo.

Po rewolucji, krok po kroku, północno-wschodnie stany stworzyły społeczeństwo przemysłowe i komercyjne, podczas gdy stany południowe i zachodnie zachowały swój charakter rolniczy. I tak oto powstał konflikt interesów, podział Stanów Zjednoczonych na strefę komercyjną i strefę rolniczą. To ten konflikt był zasadniczą przyczyną wojny między stanami i, w pewnej mierze, po dziś dzień określa amerykańską politykę. [...] Za jego sprawą dekompozycji uległ już gabinet prezydenta Waszyngtona.

Aleksander Hamilton, najtęższy umysł wśród Ojców Założycieli, był zwolennikiem Ameryki jako państwa skonsolidowanego, a nie *stricte* federalnego, państwa rozwiniętego i samowystarczającego, jak oceniał niektórzy, zmierzającego ku imperium. Realizacja jego planów wymagała szerokiej interpretacji Konstytucji i tym sposobem zwiększenia władzy federalnej kosztem ograniczenia kompetencji władz stanowych (w Konstytucji kompetencje władzy federalnej były nieliczne i *explicite* wymienione, z tym, że Kongres Stanów Zjednoczonych mógł stanowić prawa wprawdzie nie wymienione w Konstytucji, ale konieczne dla zrealizowania praw wymienionych, i Hamilton próbował nadużywać tej tzw. klauzuli kompetencji implikowanych). Był autorem nowoczesnej polityki fiskalnej, wzorowanej na brytyjskiej i, w przypadku Ameryki, mającej na celu nie tylko poradzenie sobie z ogromnym długiem publicznym młodego państwa federalnego, ale i przyspieszenie ekonomicznego rozwoju państwa. Był Hamilton zwolennikiem pewnych form państwowego interwencjonizmu, np. ochrony rodzimego przemysłu poprzez odpowiednią do tego politykę celną, co uderzało w zależne od importu rolnicze Południe, lub finansowania budowy dróg i kanałów, a to oznaczało podejmowanie kontrowersyjnych inicjatyw podatkowych.

Opozycję wobec Hamiltona uosabiał w rządzie Waszyngtona inny wybitny Ojciec Założyciel, przedstawiciel amerykańskiego Południa, Tomasz Jefferson.³ Polityczni przeciwnicy Hamiltona i innych „nacjonalistów” -- zarówno niedawni zwolennicy utworzenia federacji stanów, a wśród nich Jefferson, jak i tym bardziej antyfederaliści, którzy sprzeciwiali się powstaniu państwa federalnego -- byli zagorzałymi przeciwnikami koncentracji władzy federalnej. Uważali, że nieuniknioną konsekwencją silnej władzy federalnej będzie powstanie scentralizowanego i w istocie tyrańskiego państwa Lewiatana. Byli zwolennikami suwerenności dzielonej między władzę federalną i władze stanowe oraz obywateli stanów, z przewagą kompetencji po stronie władz i obywateli stanów⁴. Byli republikanami, chcącymi zamieszkiwać małe republiki i mającymi

możliwie duży bezpośredni wpływ na sprawy swych małych ojczyzn. Podkreślali i chcieli zachować kulturalną oraz ustrojową odmienność stanów.⁵

Profesor Forrest McDonald pisze w swojej biografii Hamiltona:

Jefferson, jak ogromna większość innych Amerykanów, zwłaszcza zaś jak południowcy z jego pokolenia, nauczyli się postrzegać polityczną rzeczywistość przez ideologiczny pryzmat stworzony w Anglii sześć dziesiątków lat wcześniej [...]. Gdy Parlament pod wodzą sir Roberta Walpole'a przekształcił królestwo poprzez uczynienie pieniądzem długu publicznego, a zatem dokonał finansowej rewolucji i wprowadził system ministerialny, dotąd dominująca w kraju klasa szlachecka uznała, iż zostaje zastąpiona przez tych, których pogardliwie określiła mianem „ludzi pieniądza”. Odpowiedzią był pełen pasji sprzeciw, któremu przewodzili najpierw tzw. prawdziwi Wigowie, a potem zastąpił ich prominentny torys, Henry St. John, pierwszy wicehrabia Bolingbroke. [...]

Według Bolingbroke'a rewolucja Walpole'a całkowicie skorumpowała angielski rząd i społeczeństwo. Wcześniej, stwierdził Bolingbroke, system ufundowany był na rolnictwie i własności ziemi, uczciwej pracy na roli, na rzemiośle w miastach oraz na sprawiedliwie regulowanym handlu między ludźmi. Wszyscy czcili Boga, szanowali bliźnich, ustępowali mądrzejszym i znali swoje miejsce. Ponieważ byli pewni swego miejsca, byli też pewni swego rozumienia wartości; w postępowaniu kierowali się głównie cnotą, honorem i duchem dobra publicznego. Instrumentem, który w rękach Walpole'a stał się narzędziem korupcji, był pieniądz – nie pieniądz „rzeczywisty”, złoty lub srebrny, ale pieniądz sztuczny, w formie długu publicznego, banknotów, akcji i innych rodzajów papierów, pozyskanie których nie miało nic wspólnego z pracą lub ziemią. Walpole i jego ministrowie zachęcali ludzi do spekulowania takimi papierami i w ten sposób szukania łatwego zysku. Gorączka hazardu, giełdy papierów wartościowych i „tasowania” tych papierów ogarnęła najwyższe organy państwa, pozwoliła ministrom przejąć kontrolę nad Parlamentem, tym samym wywracając porządek konstytucyjny, i w końcu ogarnęła społeczeństwo. Męska cnota ustąpiła miejsca zniewieścieniu i sprzedajności.

Dokładnie tak współcześni Hamiltonowi protoplaści południowych agrariuszy postrzegali niebezpieczeństwo płynące z reform hamiltonowskich, odpowiadających ludziom biznesu oraz bankierom ze stanów północno-wschodnich. Byli przeciw centralizacji władzy, przeciw „ludziom pieniądza”, zaś politykę ekonomiczną Hamiltona postrzegali jako powrót do skierowanego przeciw koloniom merkantylizmu Korony.

Od początku, w Stanach Zjednoczonych żyły dwie różne i zwalczające się wizje konserwatyzmu. Na północ od słynnej linii, wyrysowanej na mapie Ameryki przez Masona i Dixona w połowie wieku XVIII, królował konserwatyzm Aleksandra Hamiltona i innych tamtejszych federalistów, wedle którego, jak pisał Russell Kirk, *tradycyjne wartości społeczne – świętość własności, stabilny rząd, szacunek dla przekonań religijnych, uznanie korzystnych różnic między człowiekiem i człowiekiem – mogły być ochronione najlepiej przez silny rząd, dzierżący szeroką władzę i zdolny do w istocie nieograniczonego rozrostu.* Sam Hamilton pisał na przykład: *władza, jeśli rządzi*

zrećnie, może i powinna zmieniać przyzwyczajenia człowieka, kierując je ku jego samodoskonaleniu, i przez to ku doskonaleniu społeczeństwa jako całości.

To mając tę wiarę Hamilton mógł, co pięknie podsumował Forrest McDonald, skonstruować efektywną maszynę fiskalną, uczynić ją korzystną dla każdego, i złączyć jej działanie z funkcjonującymi mechanizmami ekonomicznymi. Najpierw jakby nie dostrzegając owego novum, ludzie powinni stopniowo dojść do wniosku, że jest im to novum wygodne i że jest użyteczne. I w ten sposób powinno stać się dla ludzi częścią ich codziennego życia, natomiast dla przemysłu bodźcem do rozwoju. Co osiągnąwszy, społeczeństwo wkracza w nowy etap – każdy musi dostosować swoje zachowanie do [nowych] reguł, według których funkcjonuje maszyna rządzenia, zaś zdemonstrowanie tej maszyny jest prawie niemożliwe bez doprowadzenia do rozkładu całego społeczeństwa.

Konserwatystów Południa przed wojny secesyjnej najłatwiej zrozumieć, uważa Adam Tate⁶, za punkt wyjścia przyjmując rozłączne widzenie państwa i społeczeństwa. *Ci południowi konserwatyści, którzy zgadzali się z libertariańskim rozdziałem państwa i społeczeństwa, uznawali w ten sposób, iż nastąpił novus ordo seclorum. Natomiast ci z nich, którzy odrzucali libertariańską tezę, że państwo nie powinno odgrywać żadnej pozytywnej roli w społeczeństwie, i tak – sami z siebie -- pojmowali państwo i społeczeństwo jako rozłączne byty. Południowi konserwatyści mogli być równocześnie klasycznymi liberałami w domenie politycznej i opowiadać się za bardziej tradycyjnym społeczeństwem. Nie było to myślenie schizofreniczne, ponieważ była to intelektualna możliwość wbudowana w amerykański eksperyment. Stany Zjednoczone mogły być jednocześnie, w XVIII-wiecznym sensie, konserwatywne i radykalne.*

Wszyscy, jak już wspominałem, byli zgodni w swoim republikanizmie, widzieli stany jako suwerenne, acz skonfederowane, państwa; byli zagorzałymi rzecznikami „praw stanów”.⁷ Wielu zwalczało konsolidację władzy nie tylko federalnej, ale i stanowej, broniąc praw lokalnych samorządów. Celem wszystkich była obrona społeczeństw lokalnych, własnych „narodów”, zapewnienie im trwania w wolności i społecznej cnotie, ochrona wartościowego sposobu życia we wspólnocie, przy czym właściwym dla Ameryki fundamentem takiego życia, wiążącego pokolenia, był według nich ład oparty na rolnictwie i ziemiaństwie. Wszakże różnili się w tym, jak ten cel realizować, albo jak do niego zmierzać.

Największy z nich, John Randolph z Roanoke (1773-1833), czerpał z myśli Edmunda Burke’a. Podobnie do wielkiego Anglika uważał, że jedynie tradycyjne instytucje społeczne -- rodzina, kościoły, prawo, lokalne związki łączące ludzi mogą kształtować ludzkie charaktery i kierować ich ku cnotie, będącej fundamentem społecznego ładu. Tylko one mogły stworzyć pożądaną i stabilną wspólnotę. Nic człowiekowi po najgorszej nawet spisanej konstytucji, gdy brak ludzi cnotliwych, zdolnych dobro wspólnoty przedłożyć nad własny egoizm. Myśleć, że jeden może kontrolować zachowania drugich jest nonsensem. *Ale rząd może zniszczyć cnotę w ludziach, wyznaczając łatwą drogę do zła.* Randolph przestrzegał, że poszerzenie praw wyborczych to niezawodny sposób na społeczną demoralizację i uzależnienie ludzi od rządu: *wszystko ma dla nich uczynić*

rząd, oni zaś nie muszą już nic robić dla siebie. Nie pokładał przy tym żadnych złudnych nadziei w ludzkiej naturze. Ale też nie widział innego fundamentu zdrowej republiki niż cnotliwi obywatele, kierujący się w życiu zdrowymi zasadami. Locke'a idea człowieka jako „niezapisanej tabliczki” była mu zupełnie obca. Był antyegalitarystą, społeczeństwo z natury musiało być hierarchiczne. W dziedzinie ekonomii Randolph był uczniem Adama Smitha – dobrze znał „Bogactwo narodów” i zgadzał się z wyrażonymi tam poglądami. Także stąd, a nie tylko z chęci obrony suwerenności stanów, wypływał jego sprzeciw wobec neomerkantylizmu Hamiltona.

John Randolph zaczynał jako radykał. Jako młodzieniec był przez chwilę przejęty nawet ideami rewolucyjnej Francji. Szybko te niebezpieczne mrzonki porzucił, ale nie od razu wyzwolił się ze wszystkich złudzeń racjonalistycznych. Przez pół życia był religijnym sceptykiem. Ideologię Oświecenia porzucił zupełnie po nawróceniu się i zdecydowanym opowiedzeniu za chrześcijańską wizją człowieka.

Wiara w racjonalność człowieka i zbawczy wpływ racjonalnie pomyślanych instytucji, np. powszechnej edukacji, była udziałem Johna Taylora (1753-1824), innego wybitnego południowca z przełomu wieku XVIII i XIX, starszego od Randolpha o 20 lat. Tam, gdzie Randolph odwoływał się do Burke'a, Taylor szukał rozwiązań racjonalistycznych. Więcej, Taylor nie wierzył, że na powodzenie republiki może mieć pozytywny wpływ osobista cnota obywateli: *oczekując powstania dobra publicznego z prywatnej cnoty narażamy się na publiczne zło płynące z prywatnych wad.* Nie miał Taylor racji lekceważąc tradycję i nadmierne znaczenie przypisując rozwiązaniom instytucjonalnym, ale też nie wolno nie doceniać roli, jaką odegrały jego prace i przemówienia na temat ścisłego rozumienia Konstytucji.

Takie były zasadnicze różnice między Randolphem i Taylorem, ale łączyło ich – i późniejszych głosicieli starego republikanizmu – wspólne wielkie zadanie obrony rolniczego Południa przed kapitalistyczną Północą i zagrażającą stamtąd dominacją polityczną. Pierwsi Starzy Republikanie i ich następcy uważali secesję za możliwą i *implicite* dopuszczoną przez Konstytucję, jeśli uzurpacje władzy federalnej okażą się dla danego stanu lub stanów nie do zniesienia, z tym, że np. Taylor postulował, by decyzja taka mogła zapaść jedynie jako efekt zastosowania specjalnie uzgodnionej procedury.⁸ Byli przeciwnikami stałej armii jako naczelnego agenta rządów tyrańskich i przemienienia Stanów Zjednoczonych w państwo wojenne.

W ostatnich dekadach swego życia John Randolph coraz częściej bolał nad upadkiem stanu wyższego, dobrych obyczajów i morale w jego rodzinnej Wirginii. Uważał, że Amerykanie, którzy poddali się dyktatowi sił nowoczesności *zasługują na los niewolników, kojonych jedynie muzyką łańcuchów, w które zakuli samych siebie i swoich potomnych.*

Wojna secesyjna utopiła sen o suwerenności stanów w oceanie krwi. Rozpoczęła się budowa przemysłowego imperium. Industrializacja i rynek, a to znaczy pieniądz, nie do pogodzenia z tradycyjną kulturą rolniczą i prowincjonalną, zaczęły zmieniać drobnego farmera i majątnego plantatora. Napędzany pieniądzem postęp techniczny prowadził do

zwiększenia produkcji rolnej, przede wszystkim bawełny, której uprawa rozszerzyła się z głębokiego południa na Teksas oraz w kierunku północnym. Produkcja rolna stała się właściwie produkcją pieniądza, rządzoną obcymi farmerom mechanizmami rynkowymi, każącymi im zadłużać się i stale zwiększać produkcję, działać, jak gdyby byli biznesmenami.

Kiedyś Ojcowie Założyciele chcieli, by Stany Zjednoczone były miejscem, w którym wolni obywatele dążą do szczęścia. Po wojnie secesyjnej społeczeństwo Południa zostało ostatecznie włączone w system, w którym, jak to napisał w roku 1930 Andrew Lytle, *dążenie do szczęścia zostało zastąpione kręceniem się w kółko, pozbawionym nawet tej logiki, jaką kieruje się pies goniąc własny ogon.*

Jest to sprawa konfliktu między ludźmi a nienaturalnym pokłosiem geniuszu inwencji. Jest to wojna na śmierć i życie między techniką a zwykłym ludzkim funkcjonowaniem. Prawa do takiego funkcjonowania są naturalnymi prawami człowieka, ale dziś, w XX a nie XVIII wieku, są to prawa zagrożone po raz pierwszy w historii. [...] I ponieważ machina władzy zależy w ostatecznym rozrachunku od ludzkiej kontroli, jesteśmy świadkami spektaklu zaiste tragicznego: widzimy ludzi oszalałych pod wpływem własnej inwencji, zastępujących samych siebie nieożywionymi przedmiotami. Ostatecznie jest to moralne i duchowe samobójstwo, po którym nastąpi destrukcja fizyczna.

Przemiana Południa zachodziła stopniowo. Wraz z rozwojem przemysłowym, budową dróg i miast, elity opuściły prowincję i włączyły się w nowoczesny świat. Farmer zostawał na roli prawie sam, opuszczony przez ambitniejszych synów, którzy także woleli szukać szczęścia w mieście. Prowincja traciła liderów, którzy mogliby wspomóc przetrwanie farmerskich wspólnot. Pierwsza wojna światowa skomplikowała sytuację ekonomiczną producentów rolnych – *wysoka cena bawełny, zamiast ich wyzwolić, wymusiła większe podporządkowanie się prawom ekonomii pieniądza.*

W [...] chwili wchodzenia Stanów Zjednoczonych do wojny, farmer – nie zdając sobie z tego sprawy – usiłował żyć w kleszczach dwóch nie dających się pogodzić ekonomii. Pomimo tej podwójnej egzystencji udawało mu się zachować wiele dobra, jakie przynosiła praca na roli, ponieważ jego życie nadal w dużej mierze rządzone było prawami, które odziedziczył po przodkach i które były prawami życia rolniczego. Ale krokiem fatalnym jest stanie się farmerem nowoczesnym, stale rozwijającym produkcję, ponieważ w tym momencie ekonomia pieniądza staje na pierwszym miejscu, a na ostatnie spada stosowanie się do starych praw życia rolnika.⁹

Południowi agrariusze nie wahali się uznać obrony ginącego etosu farmerskiego za najważniejsze zadanie ich czasu. Tytuł eseju Lytle'a z tomu *Who Owns America?* nosi znamienity tytuł *The Small Farm Secures the State*. W najgłębszym przekonaniu agrariuszy państwo, w którym żyli, zmierzało nieuchronnie ku państwu niewolniczemu. Nim rozpoczęła się industrializacja drobny farmer był człowiekiem wolnym, jeśli tylko potrafił wyżywić siebie i swoją rodzinę, i jeśli żył tak jak jego dziadowie i pradziadowie, nie zapominając o Bogu, w zgodzie z rytmem dnia i rytmem roku. Bez względu na to o ile był uboższy od swego bogatego sąsiada, był niezależny politycznie i ekonomicznie. W

mieście na każdego czyhało zniewolenie. Nowoczesne, rozwinięte państwo czyniło wielkie masy ludzi quasi-niewolnikami, skazując ich na pracę najemną dla wielkiego koncernu czy (wówczas jeszcze potężniejszego) państwa.

Agrariusze pisali zawsze z pasją i często wnikliwością, której trudno się oprzeć. Thomas Fleming tak kończy artykuł, który cytowałem na początku:

Jeżeli agrariusze -- od Hezjoda po Bradforda – mieli rację, to wolne społeczeństwo musi być przede wszystkim społeczeństwem rolniczym, a przynajmniej, używając bardziej abstrakcyjnych terminów ekonomicznych, społeczeństwem ludzi posiadających środki produkcji, tak jak rzemieślnik posiada swoje narzędzia. A jeśli się mylili, to gdzie w historii szukać tej wyjątkowej rasy miejskich konsumentów, która zachowała swoje cnoty i swoją niezależność? Historia Aten i Wenecji, Anglii i Nowej Anglii nie wygląda zachęcająco.

Czy muszę przekonywać, że współczesność wygląda jeszcze mniej zachęcająco? Jej opisaniu – przede wszystkim piórami Thomasa Fleminga, prof. Donalda Livingstona¹⁰, póki żył Samuela Francisa, autorów „Modern Age” -- poświęcone są praktycznie wszystkie odcinki tego przeglądu. Ale nie przeszkadza to wcale, że mógł mieć rację prof. McDonald powiedziawszy w rozmowie zrelacjonowanej przez George’a Nasha¹¹: *Stany Zjednoczone byłyby dziś zbiorem republik bananowych, gdyby nie geniusz i wizja Hamiltona.* Co w żadnym razie nie umniejsza wagi wołania agrariuszy, ani nie pomniejsza trafności ocen konserwatystów współczesnych. Powiada raczej, iż nie wolno ustawać w wysiłkach na rzecz dobra i Prawdy, nie licząc broń Boże na likwidację tym sposobem cierpienia i zbudowanie raju na ziemi.

Samuel Francis, 29.04.1947 – 15.02.2005

Rok temu zmarł po operacji tętniaka Dr Samuel Francis. W tym przeglądzie często przywoływałem jego głos. Najważniejsze było dla mnie to, że rozwinął myśl Jamesa Burnhama o rewolucji menedżerskiej i najlepiej, obok Paula Gottfrieda, analizował jej dzisiejsze konsekwencje.¹² Nie był wygodny dla „koncesjonowanych konserwatystów”, nie mówiąc o szerszej rozumianym establishmencie opiniotwórczym, i został przez nich zmarginalizowany, tak jak nieomal wszyscy paleokonserwatyści. W środowisku tych ostatnich był postacią znaczącą.

Samuel Francis nabrał z czasem przekonania, że ruch konserwatywny poniósł klęskę, zamykając się w wieży z kości słońskiej swoich analiz współczesności – analiz trafnych, ale bez żadnego oddźwięku w społeczeństwie. Uważał, że zamiast analizować – chociaż sam był komentatorem doskonałym – trzeba odtworzyć zdrowe instytucje życia publicznego, przede wszystkim ożywiając amerykańską klasę średnią. Poza działalnością publicystyczną i eseistyczną wspomagał zatem różne inicjatywy oddolne, np. ruch „białych nacjonalistów”¹³. Stał się oczywiście ostrym krytykiem administracji USA, gdy ta znalazła się pod wpływem neokonserwatystów.

Wielu czytelników „Chronicles” zaczynało lekturę miesięcznika od felietonu Francisa. Ja też do nich należałem i do dziś nie umiem sobie znaleźć jakiejś innej stałej rubryki, od której zaczynałbym czytanie kolejnego numeru.

Samuel Francis był religijnym sceptykiem, w chrześcijaństwie widział zbyt wiele sympatii dla postępu. *Z biegiem czasu*, napisał we wspomnieniu Thomas Fleming, *jego niechęć do chrześcijaństwa zaczęła maleć, i mam dobre podstawy, by sądzić, że kończył swe życie jako chrześcijanin*. Pokój jego duszy.

¹ Por. VI odcinek tego przeglądu, ARCANA 34 (4/2000).

² Tu muszę się przyznać, że południowych agrariuszy opatruję tą właśnie nazwą ze względu na ich przywiązanie do idei upowszechnienia własności. Gdyby nie ono, na pewno lepiej byłoby mówić o południowych ziemianach.

³ Po roku 1800, a więc po objęciu urzędu prezydenta USA, Jefferson przejął poglądy prokapitalistyczne. Południowi konserwatyści, dotąd związani z Partią Republikańską Jeffersona, stopniowo opuścili go i jego partię. Część z nich założyła w roku 1806 stronnictwo Starych Republikanów, inaczej zwane *Tertium Quid*, na którego czele stanął John Randolph z Roanoke. Trzeba przy tym pamiętać, że Starzy Republikanie pokładali w Jeffersonie wielkie nadzieje. Jego wybór na prezydenta był dla nich – a także dla drobnych farmerów, sklepikarzy i rzemieślników, których głosami zwyciężył – „rewolucją 1800 roku”.

⁴ Warto wspomnieć, że np. w wyborach delegatów na stanowe konwencje ratyfikacyjne Konstytucji Stanów Zjednoczonych brało udział około 4% wszystkich mieszkańców USA, a zatem obywatele, do tego korzystający ze swoich praw politycznych, nie stanowili licznej populacji. Prawa głosu nie mieli niewolnicy (około 700 000 dusz na 4 miliony wszystkich mieszkańców), kobiety i dzieci. Także około połowa mężczyzn nie mogła głosować, bowiem nie spełniała wymagań majątkowych. Wielu innych nie głosowało, ponieważ mieszkało zbyt daleko od punktów wyborczych.

⁵ Uwagi te i następne, odnoszące się do wczesnej historii Stanów Zjednoczonych, opieram na cytowanych już we wcześniejszych odcinkach pracach śp. prof. Bradforda, artykułach prof. Donalda Livingstona i kilku innych autorów, ale także na książkach wybitnego historyka Ameryki, prof. Forresta McDonalda (zwłaszcza na jego słynnej biografii Aleksandra Hamiltona z roku 1979 oraz na książce „States’ Rights and The Union: Imperium in Imperio”, University Press of Kansas, 2000). Forrest McDonald na pewno południowym agrariuszem nie jest, przeciwnie, w swoich niedawno wydanych wspomnieniach, stronnictwo Jeffersona nazwał stronnictwem reakcjonistów, *płynących pod prąd historii* (cyt. za omówieniem wspomnień w „Modern Age” tom 47, nr 2 (wiosna 2005), pióra prof. Georga H. Nasha). Gdy chodzi o problem dzielonej suwerenności oraz artykuł 1 rozdz. 8 Konstytucji, w tym o klauzulę kompetencji implikowanych, oparłem się także na esejach zbioru „The Heritage Guide to the Constitution”, Regnery i Heritage, 2005, str. 43-46 (esej McDonalda) oraz 93-149. Wspominając o konserwatywnej myśli amerykańskiego Południa sprzed wojny secesyjnej opieram się przede wszystkim na książce Adama L. Tate’a, „Conservatism and Southern Intellectuals, 1789-1861: Liberty, Tradition, and the Good Society”, University of Missouri Press, 2005, i oczywiście także na klasycznym dziele Russella Kirka, „The Conservative Mind: From Burke to Eliot”.

⁶ Por. op. cit. Na marginesie dodam, że książkę – i jej autora -- bardzo wysoko ocenił na łamach „Chronicles” z lipca 2005 prof. Paul Gottfried. Recenzent zbytnio się nie dziwi, że dr Tate pracuje na małej i nieznaczącej uczelni Alabamy, i to zaledwie na stanowisku adiunkta, mimo że jego osiągnięcia kwalifikują go do doskonałej kariery – badanie historii Południa, do tego traktowanego z sympatią, nie wróży mu sławy i pieniędzy.

⁷ W oryg. *states’ rights*.

⁸ Do pierwszego większego kryzysu wokół „praw stanów” doszło już w roku 1798, gdy Kongres federalny uchwalił ustawę o naturalizacji i podżeganiu do buntu (ang. *Alien and Sedition Act*). Taylor i Randolph poparli rezolucje stanów Wirginii i Kentucky, uznające ustawę za sprzeczną z Konstytucją. Taylor uznał, że działanie Kongresu w latach 1797-1798 jest tak jawnym naruszeniem praw stanów, iż może być podstawą do rozważenia przez jego stan (Wirginię) secesji. Później, już po śmierci Taylora, kolejny, poważniejszy kryzys wywołały cła importowe, uchwalone przez Waszyngton w roku 1828 i 1832,

rujnące dla plantatorów z Południowej Karoliny i ogłoszone przez ten stan w r. 1832 nieważnymi na jego terenie. Tego ostatniego kroku nie poparły inne stany Południa, ale jednocześnie opowiedziały się w sporze po stronie Południowej Karoliny.

⁹ Cytaty pochodzą z eseju Lytle'a zatytułowanego „The Hind Tit”, opublikowanego w tomie „I'll Take My Stand”.

¹⁰ To ze znakomitego eseju Livingstona zaczerpnąłem wcześniej przywołane sformułowanie, iż celem nadrzędnym jest wartościowe, wiążące pokolenia życie we wspólnocie (por. III odcinek przeglądu, ARCANA 28 (4/1999)). To, co prof. Livingston ujął syntetycznie, agrariusze opisywali szczegółowo, starając się przekonać innych, czym grozi nieokiełznany rozwój.

¹¹ Por. dz. cyt. w odsyłaczu 5.

¹² Por. ARCANA 27 (3/1999).

¹³ Biali nacjonaliści uważają się za alternatywę dla „nacionalizmu Czarnych” i „nacionalizmu Latynosów”, a także dla syjonizmu w USA. Odżegnują się od wiązania ich z dawnymi ruchami głoszącymi wyższość białej rasy, ale uważają, że wielokulturowość zakłamała historię USA i zrodziła rasizm skierowany przeciwko białym.